

Agnieszka Kumor *Na głębię (Vers le large)*

– Kasztel Antoni...!

– Jestem!

W głębi sali pod ścianą wystrzeliła w górę ręka. Nie słyszał już, co mówi strażnik. Szedł szybko w tamtym kierunku.

„Ma oczy ojca”, zdziwił się, kiedy ujrzał Antka. Wcześniej nie zdawał sobie z tego sprawy. Długi był ten rok rozstania. Stali teraz naprzeciwko siebie, poruszeni do głębi, czekając, aż strażnik skończy swoją przydługą litanię. Dopiero, kiedy ostatni wizytujący zajął miejsce za stołem, padła komenda „siadaj!” i rozległ się rumor odsuwanych ław. Na stołach w mgnieniu oka wykwitły słoiki ze smalcem i skwarkami, jaja na twardo, groch z kapustą, jabłka, ciasta... A wszystko wyłuskane pieczołowicie z kolorowych serwetek lnianych. Jak w domu. Kamil rzucił się, chcąc uściskać brata, ale ten skrzywił się tylko i pokręcił głową, że nie wolno. Uniósł brwi, patrząc na wyjęte z walizki jedzenie.

– Demolka mała była... – mruknął Kamil.

Antek postukał palcem w menażkę. Wahał się czy zacząć od ryby, a może od cebuli. Karp, nad którym pastwił się ubek, nie zachęcał do konsumpcji. Ale w końcu nie takie rzeczy w obozie się widywało. Zdążył się już przyzwyczaić. Zgnoić więźnia, zredukować go do potrzeb fizjologicznych, to nawet lepsze od bicia. Bili zresztą tylko na początku, w śledztwie. Zmieniali się dniem i nocą. Brakiem snu chcieli z niego wydusić zeznania. Wtedy zmyślał brednie, to znowu bili. W obozie inaczej. Tu rządził czas. Dzień po dniu dobijała ich kopalnia. Gaśli powoli, niedożywieni, chorzy. Zapalenie płuc było jak wyrok śmierci. Mały najwyraźniej przejął się tą rewizją.

– Jak tata? – zagadnął Antek.

– Dobrze.

– A macocha?

– Jak macocha – uciął Kamil.

Ryba jednak zwyciężyła.

W świetlicy zrobiło się niemiłosiernie gorąco. A może Kamilowi tak tylko się zdawało. Zdjął palto i szalik. Na ławie było ciasno, trzymał je na kolanach. Był wściekły. Nie wiedział tylko jeszcze na kogo i o co. Inaczej wyobrażał sobie całe to widzenie. Tak chciał się z bratem nagadać, marzył o tym miesiącami. Dlatego zgodził się na tę podróż, choć go ojciec właściwie o zdanie nie pytał. A teraz siedział naprzeciwko niego jakiś nadęty, obcy facet o twardej, zamkniętej twarzy, jednym gestem dłoni ucinający wszelką próbę zbliżenia. [...]